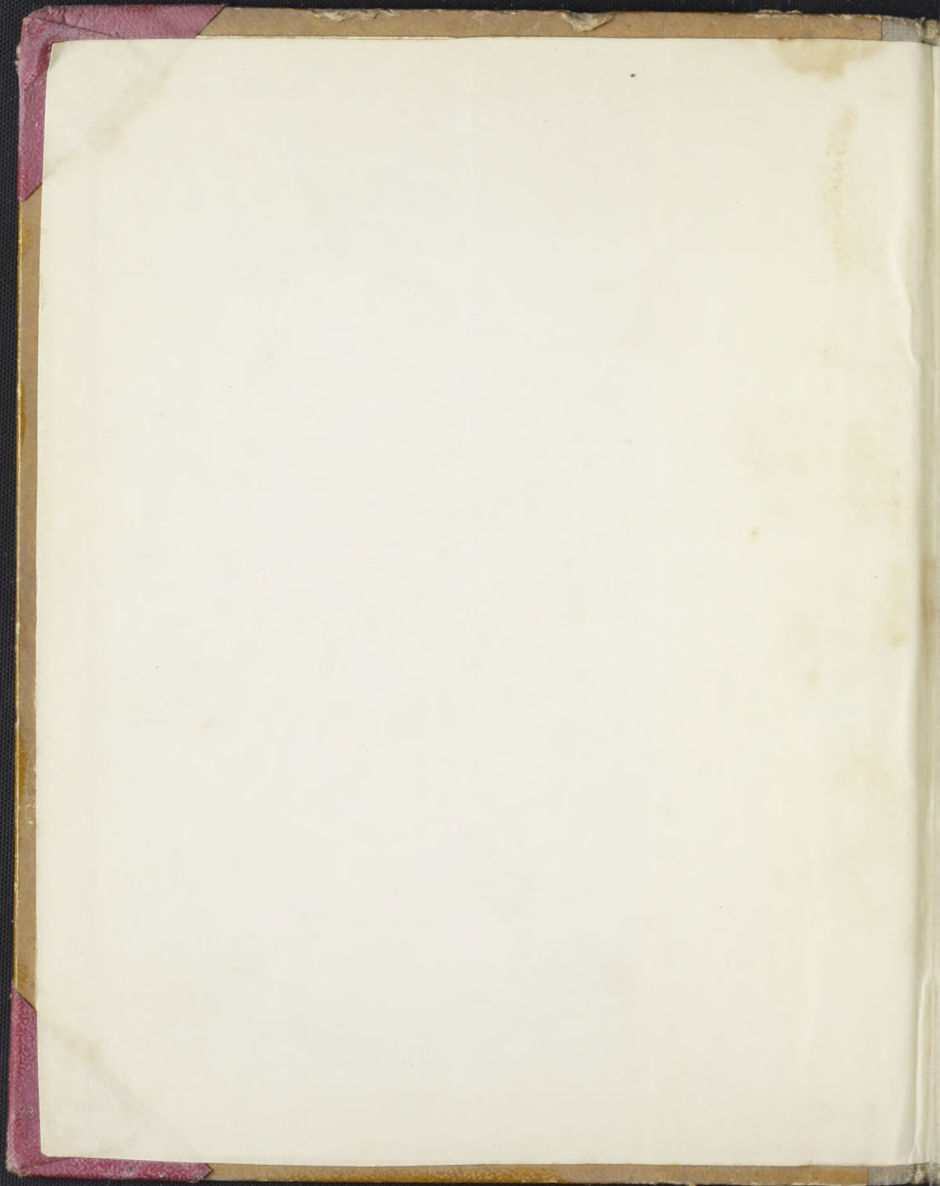


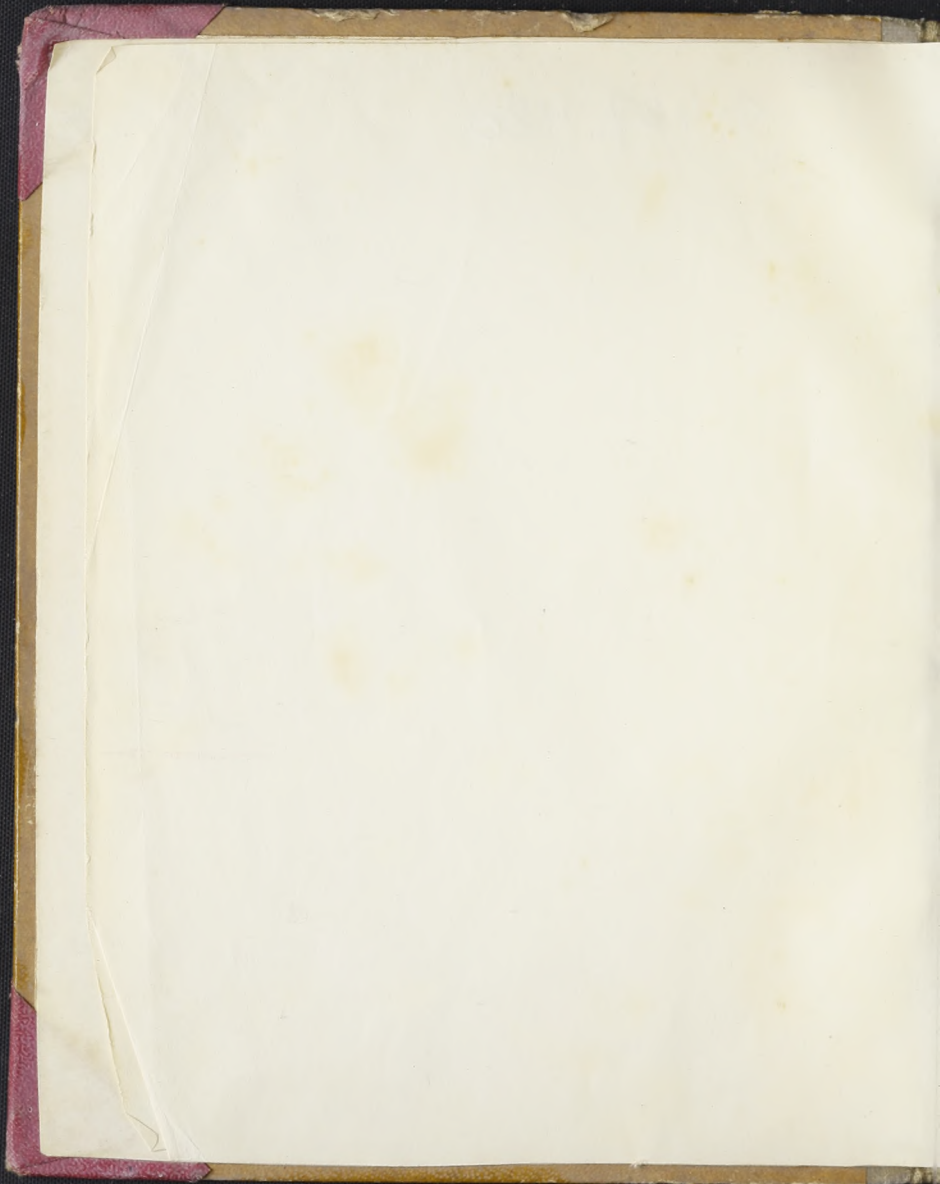
MYSIA WIEŻA



LWOW - POZNAŃ
WYDAWNICTWO POLSKIE



1.467.420



MYSIA WIEŻA

Samykalba od Haimosi

200

MYSIA WIEŻA

I INNE POLSKIE PODANIA
I POWIASTKI

OPOWIEDZIAŁ
CZESŁAW KĘDZIERSKI

LWÓW — POZNAŃ
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



21.467.420

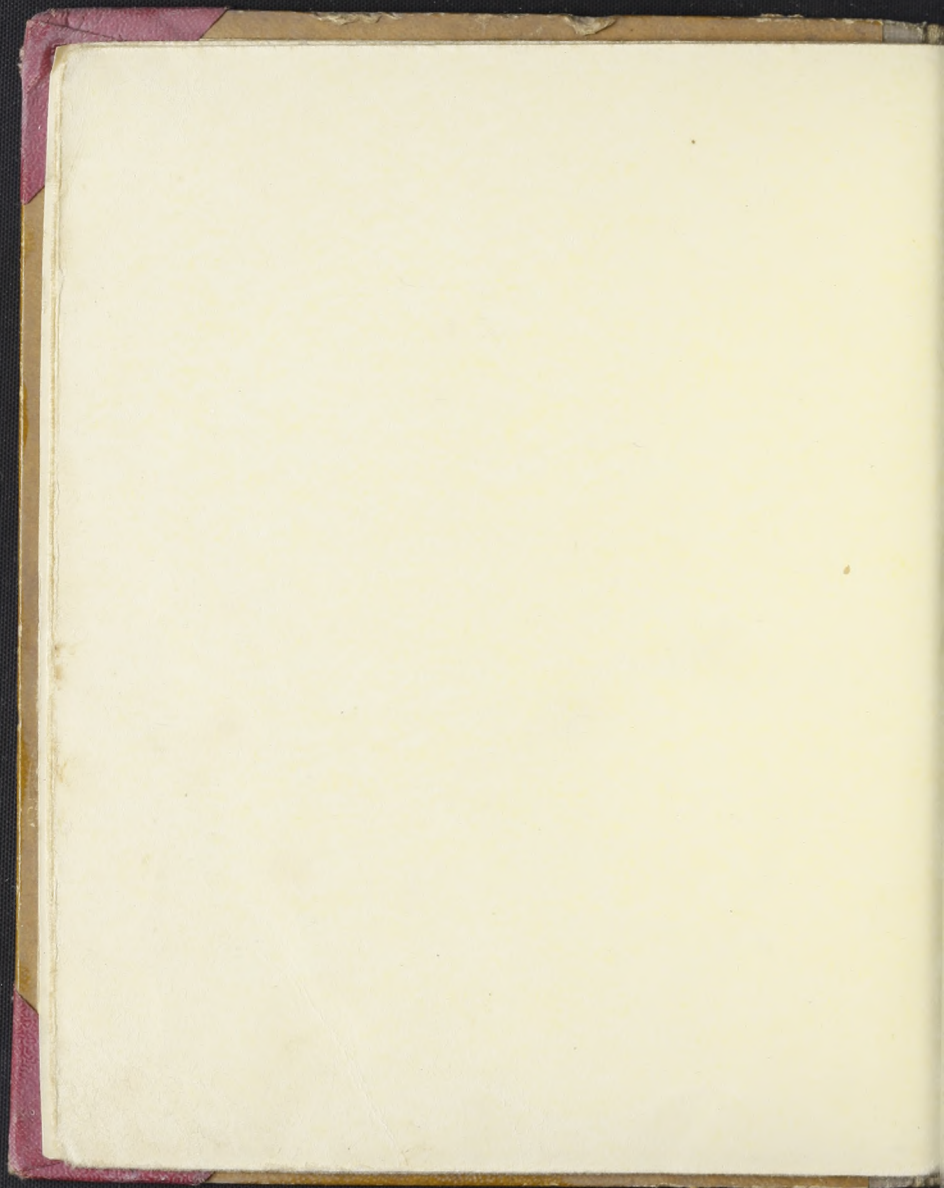


KRAKÓW — DRUK W. L. ANCYCA I SPÓŁKI

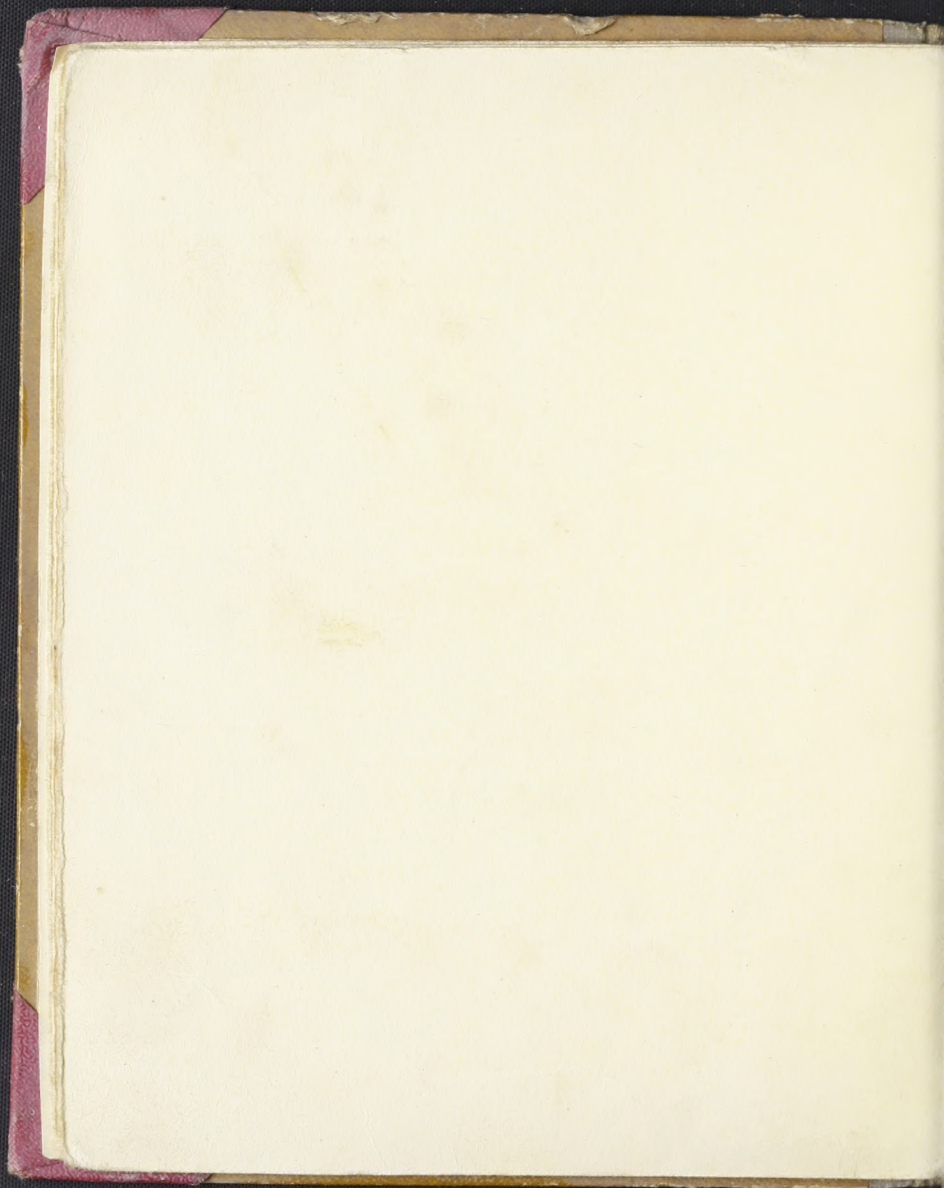
1989 K 365/133

SPIS RZECZY.

Mysia Wieża	7
Pustelnik i król	35
O siedmiu krukach	43
Wilk, który chciał zjeść człowieka . . .	73



MYSIA WIEŻA



Dawno to było, bardzo dawno, od tego czasu minęło już przeszło tysiąc lat. Na Ziemi Kujawskiej panowali wtedy Popielowie. Stary Popiel był królem surowym, ale sprawiedliwym. Nadto był pracowity i bardzo oszczędny. Umierając, pozostawił nieletniego syna i wielkie skarby złota, srebra i drogich kamieni, zdobyte podczas dawniejszych wypraw wojennych.

Po śmierci ojca zasiadł tedy na tronie syn jego, Popiel Drugi. Ale ponieważ był jeszcze chłopcem, nie znającym się na rządzeniu krajem, przeto rządy za niego sprawowali starzy i doświadczeni stryjowie, zajmując się jednocześnie jego wychowaniem.

Popiel Drugi jednak okazywał od samego dzieciństwa złe skłonności. Był hardy i złośliwy, z lubością znęcał się nad służbą i zwierzętami, mądrych rad swych nauczycieli nie słuchał. Wady jego z biegiem lat stawały się coraz gorsze. Cały czas marnotrawił na zabawach hulaszczych i tańcach, a przede wszystkim na pijaństwie i najrozmaitszych dokuczliwych a gorszących wybrykach. Stryjowie, patrząc na to, bardzo się martwili. Dla dobra kraju pragnęli za wszelką cenę sprowadzić go z drogi występku na drogę cnoty i użyteczności. Różne obmyślali w tym celu sposoby, lecz wszystkie zawiodły; Popiel Drugi coraz więcej lekceważył troskliwych o dobro jego stryjów i wyśmiewał się z ich mądrych rad i upomnień. Zrozpaczeni tem stryjowie ura-

MYSIA WIEŻA

dzili wkońcu, że skoro wszystko już na nic się zdało, to pozostaje jeszcze jeden tylko ratunek: ożenić go. Powiedzieli sobie, że jedynie dobra, miłująca żona potrafi ujarzmić jego złe narowy, że tylko ona potrafi go wprowadzić na drogę rozsądku i uczciwości.

Jak uradzili, tak też uczynili. Dowiedzieli się, że w kraju niemieckim żyje księżniczka przecudnej urody, imieniem Ryksa. Pojechali więc do jej ojca, który chętnie przystał na to, żeby córka jego wyszła za mąż za Popiela. Ale to właśnie było najgorsze, co stryjowie mogli byli uczynić: szukali bowiem u obcych a nie w Polsce panny urodziwej, i nie pytali o prawość jej charakteru, i dobroć jej serca. I stąd spotkał ich zawód najboleśniejszy. Ryksa była wprawdzie niezwykle piękna,

ale serce miała pełne okrucieństwa i chciwości. Zostawszy żoną Popiela, zachęcała go do dalszych występków, a przede wszystkim do odtrącenia stryjów od rządzenia krajem.

I stała się teraz rzecz najgorsza. Popiel, ulegając namowom swej żony, zaczął sam rządzić przy jej pomocy. A były to rządy okrutnego i krwawego ucisku całego narodu. Ryksa, będąc Niemką, Polaków wcale nie kochała. Kazała ściągać srogie podatki, a opornych katować. Dręczyła najwymyślniejszymi sposobami zarówno panów, jak i lud biedny. Imię jej stało się postrachem dla wszystkich, i wszyscy zdaleka omijali zamek Popiela, wznoszący się nad jeziorem Gopłem. Wszyscy mówili, że w zamku mieszka Popiel z córką Lucypera. Potajemnie, zda-

MYSIA WIEŻA

leka od licznych szpiegów Ryksy, śpiewano nawet taką o niej pieśń:

Gdy w kruszwickim rządzi zamku
Niemka, córka Lucypera,
Naród cały uciskany
Jęczy i umiera!...

Kiedy wreszcie przebrała się miara cierpliwości, naród począł szemrać i burzyć się i udawał się do stryjów Popiela po radę, coby uczynić należało, ażeby ukrócić okrutną samowolę Ryksy. Wiedziano bowiem, że rządy sprawuje właściwie tylko ona, gdy tymczasem sam Popiel jak dawniej, tak i teraz w dalszym ciągu marnotrawi czas swój na bezmyślnych hulankach, o kraj i naród wcale nie dbając.

Stryjowie tedy, widząc, że takie rządy pchają kraj do zatury, zaczęli na nowo upominać Popiela, ażeby się prze-

cież opamiętał, a Ryksę jęli strofować, że zamiast błogosławieństwem być kraju i narodu, stała się jego przekleństwem. Ale upomnienia stryjów miały tylko ten skutek, że Ryksa w swej nienawiści posunęła się jeszcze dalej.

— Wiesz, Popielu, — rzekła do męża, — twoi stryjowie są coraz bezczelniejsi. Jakiem prawem wtrącają się do naszych rządów? Nic innego, oni napewno chcą sami zasiąść na tronie królewskim. Dlatego trzeba im w tem przeszkodzić!

— Może masz słuszość. Ale jakim sposobem możnaby im przeszkodzić?

— Jest tylko jeden sposób: trzeba ich zgładzić ze świata, i to wszystkich odrazu, ażeby ani jeden nie pozostał przy życiu!

— Nie, na to nigdy się nie zgodzę! —

odparł Popiel. — Nie chcę być mordercą swoich krewniaków! Naród ukamienowałby mnie za to.

Ale okrutna Ryksa nie dała za wygraną. Skoro raz powzięła jaką szatańską myśl, nie ustawała dopóty, dopóki nie zamieniła jej w czyn. Podjudzała więc Popiela ustawicznie przeciwko stryjom, aż wreszcie któregoś dnia w takie odezwała się słowa:

— Mężusiu kochany, dowiedziałam się, że twoi mili stryjaskowie uknuli przeciwko nam spisek. Chcą nas usunąć z tronu królewskiego i wtrącić do więzienia. Czy więc i teraz jeszcze będziesz ich oszczędzał?

— Co ty mówisz?! — krzyknął Popiel wystraszony. — Skądże wiesz o tem?

— Skąd wiem, to wiem, — odparła

chytra Niemka. — Wiem jeszcze i to, że buntują naród przeciwko nam i chcą zabić naszych dwóch synów.

Wszystko to Ryksa wymyśliła, żeby nastraszyć męża i zmusić go do zgładzenia stryjów.

— Co wobec tego mam zrobić? — zapytał Popiel lękliwie.

— Nic takiego. Usuniemy ich bez rozlania kropli krwi. I nikt nawet się nie domyśli, kto to sprawił. Położysz się prosto do łóżka i będziesz udawał śmiertelnie chorego. Ja zaś do wszystkich twoich stryjców roześlę gońców z żądaniem, by natychmiast przybyli, ponieważ przed śmiercią chciałbyś się z nimi pogodzić. A kiedy już wszyscy staną tu na zamku, ja poczęstuję ich wieczerzą i do wina wleję truciznę. Rozumiesz? Reszta sama się robi...

I Popiel usłuchał zbrodniczej rady swojej żony; położył się do łóżka i zaczął udawać ciężko chorego. Rozbiegli się gońce do wszystkich stryjów Popiela z wiadomością, że król umiera. Przeto stryjowie co tchu podążyli do rzekomo umierającego. A stanawszy przy nim, pełni smutku i żalości, jęli pocieszać ciężko jęczącego.

— Straszne muszą być twoje cierpienia, Popielu, — mówili, — ale Bóg nie dopuści, ażebyś tak młodo miał umrzeć. To minie, i znowu będziesz zdrów...

— Ooo, nie, już nie ozdrowię, — jęczał Popiel i stękał i wzdychał. — Już ja dobrze wiem, że nadszedł kres mego żywota; śniło mi się wczorajszej nocy, że umrę za dwa dni... Ooo! Nie gniewajcie się już na mnie, kochani stry-

jaszkowie, darujcie mi wszelkie moje przewiny i zaopiekujcie się dziećmi mojemi i moją żoną...

Stryjowie, słysząc to, płakali rzewnymi łzami, płakała i służba, płakali synkowie, płakała i Ryksa ale łzami fałszywemi.

Gdy wieczór nastał, Popiel raz jeszcze pożegnał się z wszystkimi, a potem rozkazał żonie swojej, aby ugościła stryjów wieczerzą i winem w sąsiedniej komnacie. Stryjowie tedy smutni i milczący zasiedli do stołu, zjedli wieczerzę; zaledwie jednak schwycili za kielichy i wypili wino, poczuli od razu, że dzieje się z nimi coś strasznego. Niedługo trwało, a wszyscy stryjowie, padając jeden po drugim, wśród strasznych boleści, legli nieżywi, otruci podstępnie.

Przyglądali się temu z bocznej komnaty niecny Popiel i zbrodnicza Ryksa. Kiedy już ostatni ze stryjów wyzionął ducha, wrzuciła ich ciała do Gopła, a jednocześnie rozgłosić kazała po całym kraju, że stryjowie knuli zdradę przeciwko Popielowi, i dlatego bogowie pokarali ich nagłą śmiercią.

Po dokonaniu tej okropnej zbrodni, Popiel urządził na swym zamku wielką ucztę, na którą zaprosił różnych panów z Kruszwicy. Uczta była wspaniała, doskonałe potrawy i wina najlepsze. Lecz o północy, kiedy uczta była najhuczniejsza, wpadli nagle do sali pachołkowie, krzyząc z przerażenia:

— Królu, ratuj! Z jeziora Gopła wychodzą tysiące wielkich myszy i wszystkie pędzą na zamek. Nie mo-

żemy ich żadną miarą powstrzymać, wtoczyły się na dziedziniec i pędzą po schodach na górę!

Ledwie to powiedzieli, a już tłum myszy wpadł do sali, gdzie odbywała się uczta. Myszy z wściekłością rzuciły się na Popiela, Ryksę i dwóch jej synków i jęły ich szarpać i gryźć. Innym gościom natomiast dały zupełny spokój. Powstał wielki krzyk i popłoch. Goście i Popiel mieczami uderzali na myszy, ale one z coraz większą nacierają natarczywością. Rzecz przytem najdziwniejsza, że z każdej myszy, rozciętej na dwie części, wyrastały natchmiast dwie nowe myszy. Nie mogła tu więc wszelka obrona z bronią w rękę, bo myszy przybywało coraz więcej i więcej. Wtedy to król z królową i królewiczami uciekli z sali

i schronili się w murowanej z kamieni komnacie zamkowej, zamkniętej żelaznemi drzwiami. Myszy jednak w krótkim czasie przegryzły drzwi żelazne, wtargnęły do środka i znowu z zajądłością rzuciły się na Popiela i jego rodzinę. Popiel bronił się jak szalony, uderzał szablą dokoła siebie, kopał, deptał, ale nic to nie pomogło — myszy przybywało coraz więcej i więcej.

Wtedy Popiel wybiegł z swą rodziną na plac zamkowy, kazał rozniecić dokoła siebie wielki ogień, myśląc, że w ten sposób może uda mu się uwolnić od swych prześladowców. Ale myszy wcale się ognia nie ulękły, przechodziły wśród ognia bez najmniejszej dla siebie szkody. Płomienie poprostu ich się nie imały. I znowu myszy rzuciły się na Popielów, gryząc wściekle

i szarpiąc. A było ich coraz więcej i więcej.

Gdy więc i ogień nie zdołał ich obronić od zajadłości myszy, wtedy król i rodzina jego wybiegli z podworca zamkowego, uciekając jak szaleni w stronę jeziora, wskoczyli do łodzi, w której siedział rybak i kazali mu wiosłować w stronę wysokiej wieży. Wieża ta służyła za basztę, a zbudowana była z kamieni i cegieł na wyspie jeziora Gopła. Zaledwie jednak łódź odbiła od brzegu, a już setki tysięcy myszy, goniące z podworca zamkowego, wskoczyły do jeziora i płynęły za łodzią, otaczając ją ze wszystkich stron. Jedne płynęły, drugie przedoślały się do łodzi i znowu nastąpiła ta sama walka, co przedtem.

Ostatecznie jednak łódź przybiła do

wyseпки. Popiel, Ryksa i dwaj synowie wyskoczyli co tchu na brzeg i pobiegli znowu jak szaleni ku wieży. Znalazłszy się w środku wieży, zatrzasnęli za sobą bramę żelazną. Potem wbiegli na pierwsze piętro, tam znowu zatrzasnęli za sobą drzwi żelazne. Potem wbiegli na drugie piętro, na trzecie, na czwarte i na piąte, ostatnie, — a na każdym piętrze były drzwi żelazne, które zamykali za sobą mocno na klucz. Teraz dopiero Popiel odetchnął uspokojony i rzekł:

— Tu jesteśmy wolni i bezpieczni! Teraz nam te przebrzydłe myszy już nie robią! Niepodobieństwem jest, ażeby mogły przegryźć sześcioro drzwi żelaznych.

I rzeczywiście zdawać się mogło, że jest to niepodobieństwem. Pierw-

szego dnia mieli spokój. Ale wtedy głód zaczął im dokuczać, ponieważ podczas ucieczki i walki z myszami nie pomyśleli wcale o zabraniu żywności, a na wieży także jej nie było. Drugiego dnia również mieli spokój, ale głód dokuczał im coraz dotkliwszy. Wtedy Popiel spojrział przez okno na dół, by przekonać się, czy myszy oblegają jeszcze wieżę. Ale wnet włosy zjeżyły mu się na głowie ze strachu i odskakując od okna, krzyknął:

— Myszy pchają się w bramę wieży! Nie inaczej, tylko ją przegryzły! Przegryzły grubą żelazną bramę! Nie ma już dla nas ratunku!

W strachu śmiertelnym oczekiwali teraz tego, co nastąpi. Tak minął drugi dzień i druga noc. Rano jednak usłyszeli nagle straszliwy pisk i łomot na

schodach piątego piętra. A po chwili rozległo się okropne chrobotanie u drzwi żelaznych. Słyszając to Ryksa zaczęła krzyczeć i kłać po niemiecku, dzieci płakały, a Popiel z dobytym mieczem stanął przy drzwiach, gotów do ostatniej walki. Niedługo trwało, a w drzwiach żelaznych powstał otwór, przez który wskakiwać poczęły myszy. Popiel uderzał mieczem z rozmachem, kłuł i deptał, lecz napróżno. Im więcej porozcinał myszy, tem więcej ich przybywało; z każdej myszy zabitej wyrastały dwie żywe. Wkrótce było ich w izbie tak wiele, że obleżeni nawet ruszyć się nie mogli. A myszy tymczasem z wściekłością gryzły i szarpały wszystkich po kolei. Najpierw więc zagryzły obu synów, potem Ryksę, a potem samego Popiela. Nie

pozostało po nich wszystkich ani jednej kosteczki. Dokonawszy tego, myszy znikły.

Tak oto z potrutych zdradziecko stryjów powstały myszy, które w ten sposób zemściły się na okrutnych trucicielach i ich dzieciach. Od tego czasu owa wieża na jeziorze Gople zwie się Mysią Wieżą. Wznosi się ona po dziś dzień na znak, że każda zbrodnia znajduje swoją zasłużoną karę.

Popielowie zginęli więc okropną śmiercią, zagryzieni przez myszy, ale dusze Popiela i okrutnej Ryksy błąkały się odtąd po zamku Kruszwickim w postaci potwornego czarnego psa o ślepiach ogromnych i olbrzymiej czarnej kocicy, która miała ślepie jarzące niby dwie płonące latarnie. Potwory te pojawiały się codziennie o pół-

nocy i straszyły wszystkich mieszkańców zamku przeraźliwym wyciem i miauczeniem. Pilnowały one przede wszystkim niezliczonych skarbów w piwnicach zamku, nagromadzonych tam przez Ryksę, a pochodzących z krzywdy łupionego niemiłosiernie narodu. Ryksa pod postacią kocicy pilnowała wejścia do piwnicy, a Popiel pod postacią psa pilnował skarbów, leżąc na nich.

Przerażeni mieszkańcy udali się do żyjącego w pobliskim lesie pustelnika z prośbą o pomoc przeciwko pokutującym w zamku upiorom. Pustelnik, człek bardzo świątobliwy, pograżył się w głębokiej modlitwie, a potem rzekł:

— Upiory te, to dusze potępieńców Popiela i Ryksy. Można je z zamku

usunąć, ale jednocześnie z ich skar-
bami. A skarby te zatopić należy
w Gople.

Powiedziawszy to, pustelnik pogrą-
żył się na nowo w żarliwej modlitwie,
poczem wstał, wziął z sobą kropidło
i święconą wodę i udał się do piwnic
zamkowych. A zobaczywszy u wejścia
potworną kocicę, pokropił ją wodą
święconą i zawołał:

Ty, coś żyła zbrodnią wściekła,
Zgiń, przepadnij na dno piekła!

Zaledwie pustelnik słów tych do-
kończył, a już rozwarła się ziemia, z ja-
my wybuchnął czerwony płomień, ko-
cica zaś straszliwie miauknęła, parsknę-
ła i zniknęła w otchłani płomiennej. Po-
tem pustelnik świątobliwy otwarł
drzwi, wszedł do środka piwnicy, a uj-
rzawszy upiornego psa na skrzyni ze

skarbami, pokropił go święconą wodą i zawołał:

Ty, coś zwolił struć swych stryjów,
Nie dla ciebie ta komora!
Weź swe skarby i przekłętą
Skocz na samo dno jeziora!

I zaledwie pustelnik wypowiedział swe zaklęcie, pies warknął tak głośno aż zamek się zatrzęsł, potem swą ogromną paszczą pochwycił skrzynię ze skarbami i wśród straszliwego szumu wyleciał z piwnicy zamkowej. W tejsze chwili, ludzie nad Gopłem stojący, ujrzeli jak czarny pies z ogromną skrzynią przelatując w powietrzu, wpadł do jeziora w pobliżu Mysiej Wieży.

W zamku kruszwickim zapanował od tej chwili spokój zupełny, upiory Popiela i Ryksy zniknęły i przestały straszyć. Teraz jednak zaczęły się dziać

straszne dziwy na jeziorze Gople. Biedni rybacy, utrzymujący się z połowu ryb, widzieli podczas słonecznej pogody psa czarnego, spoczywającego na dnie jeziora i pilnującego skarbów. Innym znów razem widzieli potwornego szczupaka, mchem i roślinami porośniętego, który pływał dokoła skrzyni; był to podobno sam Lucyper, pilnujący skarbów Popiela. Odkąd duch potępionego Popiela spoczął na dnie jeziora, ryby zaczęły ginąć; połowy ryb stały się coraz mniej obfite, aż w końcu ryb w jeziorze zupełnie zabrakło. A ilekroć rybacy założyli sieci w jeziorze, zawsze jakieś лихо sieci im splątało i w kawałki strzępiło.

Nie koniec jednak na tem. Działy się sprawy jeszcze gorsze. Gdy bowiem na środku jeziora ukazała się większa

ilość łodzi rybackich, przewożących ludzi z jednego brzegu na brzeg drugi, w tej chwili czarny pies na dnie jeziorazacząłprzeraźliwie warczeć i szczełkać i uderzać ogonem tak mocno, że cała powierzchnia wody się burzyła, a wielkie bałwany zatapiały ludzi. Trwało to czas dłuższy i wielu w ten sposób znalazło śmierć na dnie Gopła.

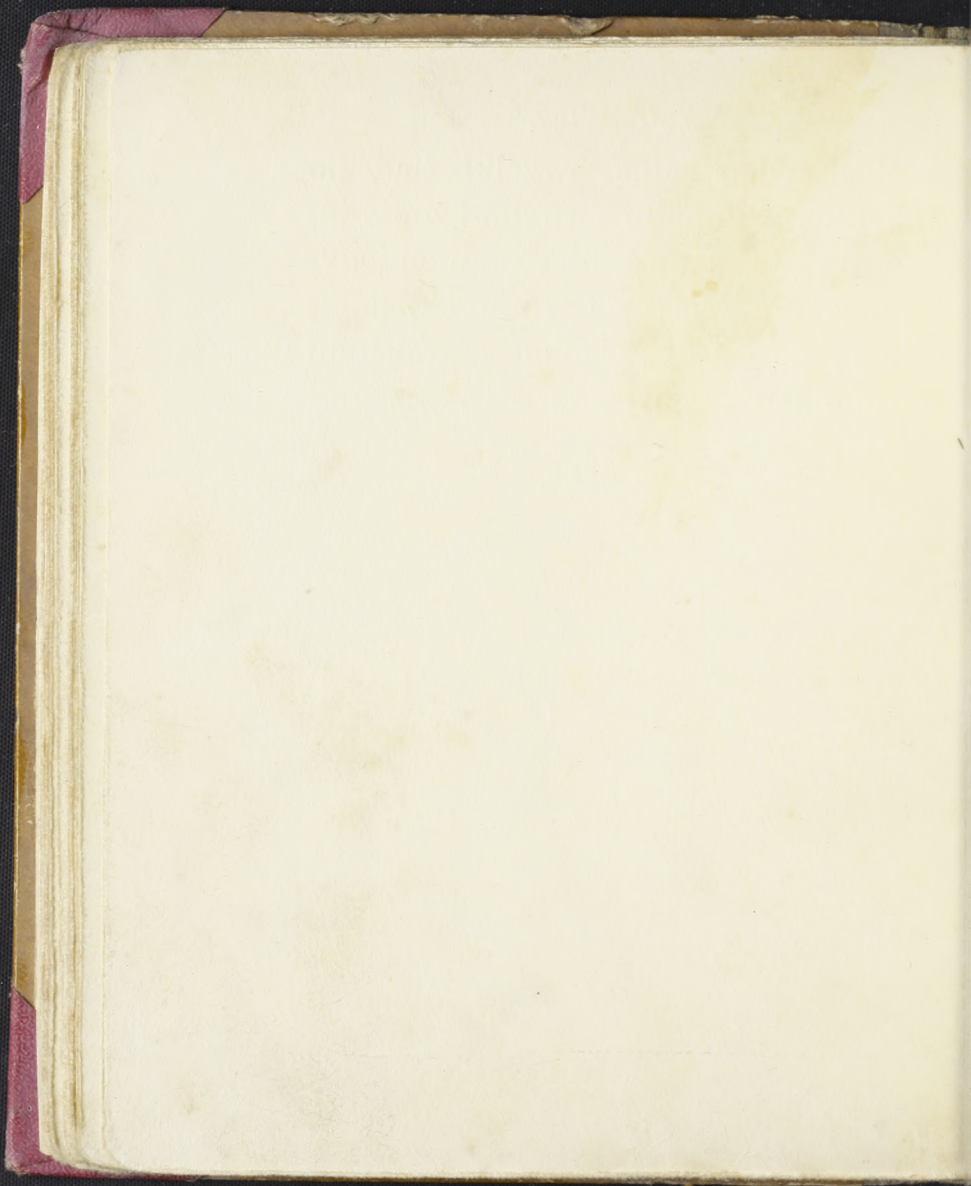
I wtedy zrozpaczeni rybacy nadgoplańscy udali się do biskupa kruszwickiego z prośbą o pomoc. Biskup w uroczystej procesji przyszedł nad jezioro, tu po długiej, gorącej modlitwie wezwał pomocy Niebios, potem wodą święconą pokropił jezioro w znak Krzyża świętego, a wkońcu zawołał głosem donośnym:

Ty, coś gnębił lud swój srodze
Tak, że imię tve lęk budzi,

Zgiń, przepadnij w głębiach ziemi,
Przestań dręczyć biednych ludzi!

Kiedy biskup słowa te wypowiedział, zerwała się nad jeziorem wielka burza, a z głębi Gopła rozległo się okropne wycie, potem piorun z nieba uderzył trzy razy w to miejsce, gdzie stróżował duch Popiela i szczupak Lucypera. A potem uciszyło się wszystko i jasne słońce zajaśniało na niebie. Wtedy na rozkaz biskupa rybacy płynęli na swych łodziach w pobliże Mysiej Wieży i zobaczyli, jak wielka skrzynia ze skarbami Popiela zapadała się w dno jeziora coraz głębiej i głębiej, aż wkońcu zupełnie znikła. Czarny pies i porosły mchem szczupak zniknęli również bez śladu. Od tego dopiero czasu nastał spokój na Gople, a ryby mnożyły się znowu w wielkiej obfitości.

Tak więc zginął wszelki ślad po okrutnym Popielu Drugim i żonie jego Ryksie, a pozostała po nich jedynie Mysia Wieża na Gople i wspomnienie o nim, opowiadane wśród ludu nadgoplańskiego.



PUSTELNIK I KRÓL

Niedaleko królewskiego zamku koło Poznania, na górze Muszej, żył pustelnik bardzo mądry i bogobojny. Wszyscy ludzie bardzo go szanowali, i sam król nawet odwiedzał go w jego pustelni. Pustelnik miał już sześćdziesiąt lat. I wtedy zdarzyło się pewnego razu, że czytając księgi święte, zastanowił się nad słowami: „O cokolwiek kto Boga gorąco prosi, zaiste Bóg wysłucha i prośbę spełni“.

Pustelnik zamyślił się i mówił do siebie: „Zdaje mi się, że to nie zawsze się sprawdza; ale przekonam się: będę

Boga gorąco prosił, aby mi król dał córkę swoją za żonę“.

Uczył tak, jak powiedział. A gdy się już długo i gorąco modlił, usłyszał głos:

— Idź do króla i żądaj córki jego, a stanie się według woli twojej.

Pustelnik poszedł więc do króla i prosił go o rękę królowny. Król zdziwił się wielce, ale odpowiedź obiecał mu dać dopiero za kilka dni. Gdy pustelnik odszedł, król powiedział to żonie swojej, królowej, a ona tak rzekła:

— Jeżeli to jest wola boża, któż się jej sprzeciwić może? Ale rozmówię się o tem z córką; zobaczymy, co ona postanowi.

Poszła królowa do królowny i zapytała, czy chce być żoną starego pustelnika. A córka rzekła:

— Jeżeli Bóg tak przeznaczył, nikt woli Jego świętej się nie oprze.

Król dowiedziawszy się o tem, wezwał ministrów swych na naradę. I ministrowie tak uradzili.

— W księgach starych wyczytaliśmy, iż trzech synowie królewscy naszego państwa odziedziczyli po ojcu diament tak wielki, że się o podział jego zgodzić nie mogli. Dlatego wyrysowali na nim dzień i rok tej sprzeczki, oraz imiona swoje i kazali diament wrzucić do głębokiego jeziora Gopła. Niechaj przeto król powie pustelnikowi, że dostanie królownę za żonę, jeżeli diament zatopiony z głębin Gopła wydostanie i odda do skarbcza królewskiego.

Pustelnik usłyszawszy to, prosił znowu gorąco, ażeby Bóg dopomógł

mu wypełnić to trudne zadanie. I gdy się już długo modlił, doszedł go głos ze ściany:

— Ja ci pomogę, ale i ty mi pomóc musisz. Dobądź mnie z muru ściany.

Pustelnik odkuł kawał muru i znalazł tam flaszeczkę zapieczętowaną, w której była mucha. Teraz usłyszał prośbę muchy, aby flaszeczkę odkorkował. Gdy to uczynił, mucha wyleciała z flaszeczki i zamieniła się w diablika Kusego. Kusy powiedział, że wkrótce mu diament przyniesie, i zniknął. Pustelnik niedługo czekał, aż tu naraz przed jego pustelnią coś okrutnie stuknęło, aż ziemia stękała. A równocześnie ukazał się Kusy i zawołał:

— Masz, czego żądałeś.

Pustelnik wyszedł i przekonał się, że to prawda. I pomyślał sobie, ja-

kimby sposobem Kusego z powrotem do flaszki dostać. Rzekł mu tedy:

— Dziwię się, jak mogłeś tu przynieść kamień tak wielki i ciężki, ale jeszcze bardziej się dziwię nad tem, jakżeś ty mógł wniknąć do tej małej flaszeczki?

— Mogę ci to zaraz pokazać, — zawołał Kusy, w muchę się przemienił i wskoczył do flaszki.

Pustelnik na to tylko czekał, szybko flaszeczkę zakorkował i zapieczętował. Djabeł w flaszeczce biadał bardzo i lamentował, ale pustelnik napisał na flaszeczce: „Bądź potępiony, na wieki wieków! Amen“ — i flaszeczkę w dawnem miejscu w ścianie zamurował.

Potem poszedł do króla i powiedział, że już ma upragniony diament. Ale ponieważ diament jest bardzo

ciężki, dlatego król powinien przysłać po niego do pustelni wóz mocny i w cztery konie zaprzężony.

Po sprowadzeniu diamentu ministrowie przekonali się, że jest ten sam, jak go stare księgi opisywały. Wobec tego król wyznaczył dzień wesela.

W dzień ten pustelnik przyszedł do zamku w swej zwykłej włosiennicy. Chciano przyodziać go w szaty królewskie, ale on się temu sprzeciwił. Powozy królewskie zawoziły pannę młodą i gości weselnych do kościoła, ale on jechać nie chciał i szedł pieszo. Króla gniewało to trochę, ale mu nie przeszkadzał.

Kiedy już młoda królewna i stary pustelnik stanęli przed ołtarzem, ksiądz zapytał królewny, czy ma wolę wziąć sobie za męża tego, który przy

niej klęczy? Na co królowna odpowiedziała:

— Mam.

Potem ksiądz zapytał pustelnika, czy ma wolę wziąć sobie za żonę tę, która przy nim klęczy? Na co pustelnik odpowiedział:

— Nie!

— A to dlaczego? — zapytał ksiądz.

A pustelnik odpowiedział:

— Czytałem w księgach świętych, że wszystko możemy uprosić u Boga. Chcąc się przekonać, czy to prawda, o mało nie wpadłem w pokuszenie i w moc złego ducha. Widząc teraz, że miłosierdzie Boże jest bez granic, chcę resztę żywota swojego poświęcić na przebłaganie Boga za moją niewiarę, za to, że o jego miłosierdziu ośmieliłem się wątpić.

Tak tedy zakończyła się historia pokusy pustelnika. Król zyskał drogocenny diament. Królowna wyszła wkrótce za mąż za młodego i ślicznego królewicza. A pustelnik, powróciwszy do swej pustelni na Muszej górze, żył jeszcze bardzo długo, spokojnie i szczęśliwie, w pobożności, postach i ostrej pokucie.

O SIEDMIU KRUKACH

Dawnemi czasy była na Kujawach wioska Krukowo. Nazwano ją tak, ponieważ gnieździło się w niej bardzo wiele kruków. W tej wiosce mieszkał wdowiec, co miał ośmioro dzieci: jedną córkę i siedmiu synów. Córka, Basia, była najstarsza i miała lat piętnaście, a syn najmłodszy miał siedm lat.

Wdowiec ożenił się po raz drugi, więc dzieci dostały macochę. Ale macocha, jak to macocha, była kobietą złą i dzieci wcale nie kochała. Zrędziła na nie przy każdej sposobności i biła. Stąd dzieci bardzo jej się bały.

Jednego dnia, gdy mąż był w polu, wysłała Basię po drzewo do lasu, a sama poszła do sąsiadki. Chłopcy, zostawszy sami w domu, zaczęli stroić różne figle i koziołki wywracać i skakać jeden przez drugiego. Przy tem baraszko-waniu ani się spostrzegli, jak lampa spadła ze szafy i rozbiła się w drobne kawałki...Chłopcy zdrętwieli z przerażenia. Co na to powie macocha? Oj, będą baty! I kiedy tak płaczą i lamentują, otwierają się drzwi i wchodzi macocha. Można sobie wyobrazić, w jaką złość popadła, gdy zobaczyła rozbitą lampę. W pierwszej chwili wzniosła pięść do góry i zawołała:

— O, rabusie przekłete! Obym was nigdy w życiu nie widziała! Obyście jako kruki na koniec świata precz odlecieli!

Zaledwiesłowa te wymówiła, chłopcy znikli jej z przed oczu, w izbie zafurkotało, zabrzęczały szyby w oknach i — siedm czarnych kruków zakrakało żałośnie i wyleciało z chaty. Klątwa macochy, wypowiedziana w złej godzinie, spełniła się nad pasierbami.

W tej chwili wróciła Basia z drzewem, a nie widząc braci zapytała o nich.

— Patrz! — krzyknęła rozzłoszczona macocha, — oto, co zrobili twoi braciszkanie! Rozbili lampę i uciekli. Idź za nimi i poszukaj ich sobie!

Basia, usłyszawszy to, wybiegła na wieś szukać braci. Pod figurą, naprzeciw chaty, ujrzała staruszka, który widział i słyszał wszystko, co się stało. Opowiedział więc Basi, całej zapłakanej, że bracia jej, zamienieni w krukij,

odlecieli na koniec świata. I tak wkońcu rzekł:

— Nie płacz, Basiu. Jeśli naprawdę swych braciszków miłujesz, możesz ich jeszcze uwolnić z pod klątwy macochy. Tylko najpierw musisz ich znaleźć. Ale „szukaj, a znajdziesz“, powiedział Pan Bóg.

To rzekłszy, staruszek zniknął. Basia wobec tego w głębi serca uczyniła ślub, że nie spocznie prędzej, dopóki nie znajdzie swych braci. Poszła więc najpierw w pole pożegnać ojca i prosić o jego błogosławieństwo. Ojciec, wysłuchawszy, pobłogosławił jej ze łzami w smutnych oczach, kupił siedm placuszków i dał jej: po jednym dla każdego brata, jeśli ich znajdzie. Potem poszła na grób matki i pomodliła się szczerze za jej duszę. A po-

tem poszła w wielki boży świat, sama jedna, szukać braci.

Basia szła tygodnie i miesiące całe bez wytchnienia. Szła przez wsie i miasta. A kogo na drodze spotkała, pytała wytrwale o swych siedmiu braci kruków. Ale zawsze napróżno, nikt ich nie znał, ani ich widział, ani o nich słyszał.

Szła już rok cały. I wtedy weszła na jakąś pustynię, gdzie ujrzała górę ogromnie wysoką, co aż do nieba sięgała, a na tej górze jaśniało coś, jakby największy ogień. I było tu bardzo gorąco. Basia, nie wiedząc, coby to było, weszła śmiało na szczyt góry. I tam dopiero ujrzała ogromny złoty pałac, w którym mieszkało Słońce. Nieśmiało otworzyła drzwi złociste i weszła do ogromnej sali, błyszczącej od samego

szczerego złota. Na środku stał stół, nakryty złocistym obrusem, a na nim stały dwa duże złote talerze. A przy kominku siedziała wysoka staruszka, która gotowała obiad w złotym kociołku; była to matka Słońca. Zobaczywszy Basię, zawołała:

— A ty, czego tu szukasz, nieszczęsna dziewczynko? Nie wiesz to, że jak Słońce wróci, to cię na proch spali?

Wystraszona Basia do nóg jej się rzuciła, opowiedziała o swych braciach i prosiła o kawałek chleba, ponieważ dwa dni już nic nie jadła, a potem zaraz chciała iść dalej. Ale staruszka, rozrzewniona jej poświęceniem siostrzanem, odpowiedziała:

— Nie, moje dziecko, syn mój nie będzie zły, gdy się dowie, dlaczego tu przysłaś. Wypocznij sobie i posil

się. A kiedy Słońce powróci, zapytamy, czy nie widziało gdzie twych braci... Ale słyszę, że już nadchodzi. Schowaj się prędko, póki mu o tobie nie opowiem.

Basia, drżąc ze strachu, ukryła się za dużym krzesłem. I w tejże chwili otwarły się drzwi i do sali weszło Słońce, z złotymi promieniami dookoła głowy.

— Dobry wieczór, matulu! — zawołało Słońce. — Ale co to jest? Tutaj czuć żywego człowieka! Co za zuchwalec odważył się tu przyjść? Pokaż mi go, matulu, ażebym go spalił na proch!

— No, no, synku, nie gniewaj się tak. To tylko mała sierota, co szuka swych braci w kruki przemienionych, — odrzekła matka i opowiedziała mu całą historję. Słońce, usłyszawszy to, zdjęło

promienie z swej głowy i zawołało łagodnie:

— Pokaż mi się, biedaczko, i nie bój się niczego. Braci twych nie widziałem, ale poślę cię do brata mego Księżyca; może on ich widział gdzie w nocy. Tymczasem siądź do stołu i zjedz z nami obiad.

Basia, ucałowawszy pokornie ręce dobrego Słońca, zasiadła do obiadu, a potem, podziękowawszy grzecznie, ułożyła się w złotem łódeczku i smacznie zasnęła.

Kiedy się rano zbudziła, Słońce już wyszło z domu i było wysoko na niebie. Staruszka więc dała Basi śniadanie na drogę, i nauczony, jak ma iść do Księżyca, wyprowadziła ją z zamku.

Droga do Księżyca wiodła wśród gęstych lasów wciąż pod coraz więk-

sze góry. Basia żywiła się teraz tylko leśnemi orzeszkami. Szła i szła wytrwale, szła bardzo długo. Mróz siwy zaczął jej coraz więcej dokuczać, kiedy nareszcie na ogromnej górze ujrzała świecący, niby śnieg biały, wielki, srebrny pałac Księżycy. Kiedy więc stanęła przed pałacem, Słońce właśnie zeszło już z nieba, i zmrok szary na świat poczynął padać.

W jednym z otwartych okien pałacu siedziała stara piastunka Księżycy i tkła pas szeroki z srebrzystej mgły. W drugim oknie siedział sam Księżyc o łagodnem obliczu i marzył. Oboje ujrzeli ze zdziwieniem Basię.

— A ty skąd się tu wzięłaś, dziewczynko? Proszę cię, chodź do mego pałacu! — zawołał Księżyc, otworzył srebrne drzwi, wziął Basię za rękę

i wprowadził ją do wielkiej srebrnej sali. Potem kazał jej usiąść na ślicznem srebrnem krzeselczku i słuchał opowieści jej o siedmiu braciach. A potem rzekł:

— Nie smuć się, maleńka. Twoich braci widziałem i wiem, gdzie ich szukać. Mieszkają oni na samym końcu świata, wpośród ogromnego morza, na małej skalistej wysepce. Co noc, o samej północy, odzyskują na godzinę ludzką swą postać, i kąpią się wtedy w morzu. Tam jednak o własnych siłach zejść nie możesz, ale mój stryj, Wiatr, z łatwością cię tam zanieśie. Jutro wyprawię cię do niego, a tymczasem ugości cię moja piastunka, bo mnie już czas odejść na niebo.

Po odejściu Księżyca poczciwa starszka Basię nakarmiła, napoiła, w cie-

plej i pachnącej wodzie wykąpała i w srebrnym ułożyła łóžeczku. Następnego dnia zaś darowała jej kozuszek z samego ptasiego puchu i wianuszek suchych grzybków. Grzybki te rosły tylko na górze księżycowej, a miały tę zaletę, że jeden taki grzybek wystarczył człowiekowi za pokarm i napój na cały dzień i noc całą. Dobry Księżyc zaś pokazał Basi drogę do Wiatru i zawiesił na jej piersiach maleńką złotą gwiazdeczkę — na znak dla stryja, że od niego była posłana. Basia z wdzięcznością wielką podziękowała Księżycowi i jego piastunce i odeszła.

Droga do Wiatru była ogromnie uciążliwa. Wiodła wśród skał okropnych, pokrytych śniegiem i lodem. Nie było tam ani jednego drzewka, ani

krzaczka ani trawki. Basia byłaby tam niechybnie zmarniała, gdyby nie ptasi kożuszek, który ją ogrzewał, i gdyby nie smaczne grzybki, które ją karmiły.

Wędrowała już okrągiło pół roku, zanim stanęła w mieszkaniu Wiatru. Była to ogromna jaskinia w lodowej górze. W głębi jaskini siedział wysoki starzec, cały szronem obielony, z długą brodą z lodowatych sopli i z szerokimi skrzydłami u ramion. Był to sam Wiatr. Naprzeciw niego siedziała czarno ubrana, z czarnym rozpuszczonym włosom kobieta, również bardzo wysoka; oczy jej migały ogniście, niby dwie błyskawice. Była to żona Wiatru, Burza. Czarna niewiasta pierwsza spostrzegła wchodzącą nieśmiało Basię, zerwała się z siedzenia i huknęła głosem, który był podobny do echa grzmotu:

— Hej, stary! Widzisz ją? Jakaś gadzina człowiecza tu wchodzi! Bierz ją i dmuchnij w przepaść!

Przerażona Basia upadła do nóg starca i poczęła go błagać:

— O, potężny Wichrze, nie czyni nic złego mnie słabej sierocie! Byłam ja u Słońca i Księżycy, i obaj byli dla mnie bardzo dobrzy. Księżyc sam przysłał mnie tu do ciebie i dał na znak tę oto gwiazdeczkę.

— Ta gwiazdka jest istotnie od Księżycy, — rzekł Wiatr. — Mów więc, czego chcesz ode mnie?

— Ach, prośbę moją łątwo możesz spełnić, — odpowiedziała Basia. — Pragnę tylko żebyś mnie przeniósł na koniec świata, gdzie mieszka siedmiu moich braci zaklętych w kruki.

Wiatr skinął tylko głową na znak

zgody. Potem wyprowadził Basię z jaskini, zerwał z nieba ogromną szmatę szarej chmury i owinał nią dziewczynkę tak, że nic już nie widziała, ani słyszała. Czuła tylko, że leci z niesłychaną szybkością, że aż straciła przytomność.

Kiedy znów odzyskała przytomność, stała już na twardej wilgotnej skale. Słyszała szum i pluskot fal wodnych i ujrzała wielkie bałwaniące się morze, a na niem w pobliżu skały rozpoznała siedm ludzkich postaci. Basia zadrżała z radości i schowała się tymczasem za wielkim kamieniem, aby tem większą sprawić braciom niespodziankę.

Wkrótce bracia wyszli z morskiej kąpieli i zasiedli na skale. Po chwili jeden z nich się odezwał:

— Mój Boże! Teraz tam u nas uciecha. Dzwony kościelne biją, a ludzie śpiewają radośnie: *Wesoły nam dziś dzień nastał...* A my tu drugi rok już męczymy się na tej skale, jako kruki, zdala od ludzi! I bez nadziei, żeby się to kiedy skończyło...

— Nie rozpaczaj, braciszku, — odpowiedział drugi, — i przynajmniej dzisiaj nas nie zasmucaj. Przecie wiesz, jak bardzo kocha nas nasza siostra, i że ona może nas z tego zaklęcia wybawić. Ja nie przestałem wierzyć, że ona zjawi się tu kiedyś i nas zbawi.

Na to Basia nie mogła już dłużej wytrzymać, wyskoczyła z za kamienia i zawołała:

— Jestem! jestem już, bracia drodzy! I zbawię was, bo tak ślubowałam!... Któż zdoła wyobrazić sobie radość,

jaka teraz zapanowała na wyspie skalistej! A kiedy nareszcie się już powitali i uściskali, Basia musiała opowiedzieć, co się z nią od dwu lat działo. Wysłuchawszy, bracia zaczęli ścisnąć ją na nowo, dziękując ze łzami za te wszystkie trudy, jakie dla nich poniosła. A brat najstarszy powiedział:

— Dzięki temu, żeś aż tu do nas dotarła, zdjęłaś z nas już część klątwy. Teraz bowiem możemy opuścić naszą wyspę i polecieć między ludzi. Ażeby nas jednak zupełnie wybawić, musiałabyś przejść jeszcze jedną próbę. Mianowicie musiałabyś, żyjąc wśród ludzi, milczeć przez dwadzieścia miesięcy i nie odezwać się ani słowem, cokolwiekby cię spotkało. Jest to próba najcięższa. Czy zgodziłabyś się na nią dla miłości naszej?

— Wszystko dla was uczynię! — odpowiedziała Basia. — Milczeć będę jak kamień, żeby was z zaklęcia wybawić, choćby mi z tego powodu groziła śmierć! Bylebyśmy jak najprędzej powrócili między ludzi.

— Dzisiaj, siostruniu, z wyspy tej odlecieć nie możemy, bo dziś święto Narodzenia Dzieciątka Jezus, i dlatego przez całą dobę cieszyć się możemy naszą postacią ludzką. Ale jutro o północy zamienimy się znowu w kruki, i wtedy polecimy z tobą w świat żywy. Bieda tylko z tem, że przy tak wielkiem święcie nie mamy tu nic do jedzenia oprócz samych ślimaków morskich.

Wtedy Basia przypomniała sobie, że ma dla braci owych siedm placuszków, otrzymanych od ojca przed

dwoma laty. A chociaż twarde były i zeschnięte jak drewno, to przecież rozmaczane w wodzie, smakowały braciom jako najlepsze torty. — Wśród rozmów i wesołości dzień szybko minął i znowu nastąpiła noc czarna. O północy bracia weszli do morskiej kąpieli, a gdy wrócili, byli już krukami. Wtedy dzióbami i pazurami pochwycili Basię za sukienkę — jedni u ramię, a drudzy u nóg, — potem unieśli się w powietrze i lecieli z nią nad olbrzymie morze.

Morze było tak wielkie, że lecieli nad niem trzy dni i trzy noce bez odpoczynku. Trzeciej dopiero nocy, bardzo już zmęczeni przylecieli na brzeg morski.

Opuścili się więc na ziemię i położyli Basię na białym piasku nad-

morskim. I wtedy najstarszy z braci rzekł:

— Siostruniu kochana! Pomnij, coś nam obiecała; pamiętaj, że choćby jedno słowo, wypowiedziane przez ciebie wśród tych dwudziestu miesięcy, zgubi nas na całe życie. Teraz bywaj nam zdrowa i niech cię Bóg wspiera w twojem postanowieniu milczenia!

Potem bracia pożegnali się serdecznie z Basią i z żalosnem krakaniem wzlecieli w powietrze. Basia długo za nimi płakała, potem łzy otarła i odeszła od brzegu szukać przy blasku księżycy drogi między ludzi.

Wśród ciemnego boru szła aż do świtu, i wtedy znalazła się na jasnej polance obok chaty z ogrodem. W domku tym mieszkał z żoną królewski gajowy.

Basia więc weszła do izby i na migi prosiła o kawałek chleba. Gościnni gospodarze dali jej chleba z masłem i ciepłego mleka, poczem pytali, skąd jest i dokąd idzie. A kiedy z jej znaków domyślili się, że niema nikogo na świecie i sama nie wie, dokąd ma iść, ulitowali się nad nią i zatrzymali ją przy sobie. Basia wdzięczna im była za to i służyła im wiernie a serdecznie.

W kilka tygodni później, zdarzyło się, król z synem jedynakiem przybyli na łowy i wstąpili także do mieszkania gajowego. Tu dopiero zdziwili się bardzo, ujrawszy Basię. Ale bo też śliczna była nad podziw; wyglądała, jak prawdziwy anioł z nieba. Król i król lewicz zasmucili się jednak bardzo, dowiedziawszy się, że jest niemową, a odjeżdżając, obdarzyli ją hojnie.

Stary król prędko o niej zapomniał, ale królewicz zapomnieć o niej nie mógł. Wciąż o niej tylko myślał i marzył. A gdy któregoś dnia król odezwał się do niego: — „Czas byłby, chłopcze, żebyś sobie wyszukał jaką królową na żonę i żebyś się ożenił“, — wtedy królewicz rzekł:

— Ojczy kochany! Ożeniłbym się bardzo chętnie, gdybym miał twoje słowo, że pozwolisz mi wziąć za żonę tę, którą ja sobie wybiorę.

Król uradowany tem oświadczeniem syna, dał żądane słowo i zgóry pobłogosławił jego wyborowi.

Królewicz więc wyruszył nazajutrz w podróż z całym swoim dworem. Ale jakież było zdziwienie dworzan, gdy królewicz zatrzymał się przed chatą gajowego i tam znosić kazał

dary, przeznaczone dla przyszłej narzeczonej. Ale zdziwienie dworzan było jeszcze większe, gdy wkrótce królewicz wyprowadził z chaty Basię, przybraną w szaty królewskie, a wsadziwszy ją do powozu, rozkazał jechać do kościoła najbliższej wsi.

Zaraz po ślubie cały orszak ruszył z powrotem do królewskiego zamku. Król ujrawszy syna z prześliczną małżonką, poznał niebawem w żonę niedawno ubogą niemowę. Mimo to jednak nie gniewał się, przycisnął Basię szczerze do serca i był szczęśliwy szczęściem swego jedynaka.

Ale król miał drugą żonę, macochę królewicza. Ona, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, o mało ze złości nie pękła. Miała ona po pierwszym swym mężu córkę-jedynaczkę,

panienkę ładną ale złą jak osa. Macocha umyśliła sobie wydać ją za królewicza. Teraz jednak, widząc się zawiedzioną w swych nadziejach, postanowiła w skrytości serca Basię zgubić.

Piętnaście miesięcy już minęło od chwili, jak Basia rozłączyła się z swymi zakłętymi braćmi. I szczęśliwą się czuła, że milczeniem swoim ich niezadługo wybawi. Zdarzyło się jednak, że w tym czasie przybył do króla goniec z wieścią, iż nieprzyjaciel potężny zbliżył się do granic jego państwa. Królewicz zatem musiał na czele wojska spieszyć co tchu na wojnę.

Niezadługo potem Basia powiła szczęśliwie syna, ku wielkiej radości starego króla. Ale macocha ze swoją córką powiedziały sobie, że teraz do-

piero nadeszła chwila ich zemsty. Na trzecią noc po urodzeniu dziecięcia, macocha dała Basi herbaty z usypiającego ziela. A gdy Basia twardo usnęła, macocha porwała dziecię z kołyski i pobiegła do królewskich chlewów. Tam była taka wielka i dzika świnia; jej to zła macocha dała dziecię na pożarcie. A potem wzięła szczątki dziecka, aby zanieść z powrotem do Basi. W tem wszystkiem nie spostrzegła wcale, że w chlewie zgubiła swój pierścień ślubny. Gdy uciekała z powrotem do zamku, zjawiło się nad nią siedm czarnych kruków i z wrzaskiem okropnym zaczęły ją tłuc skrzydłami po głowie. Wystraszona wbiegła do sypialni Basi, krwią dziecka namazała śpiącej wargi, lica i ręce, a rozszarpane dziecko na łóżku jej porzuciła.

Rano król przyszedł odwiedzić synową. Lecz jakież było jego przerażenie, gdy spojrzął na łóżko Basi. Na krzyk starego króla zbudziła się Basia i przybiegły macocha z córką. Któż zdoła sobie wyobrazić ból i rozpacz Basi, kiedy ujrzała zwłoki swego synka! Zaprawdę, jakże wielka była miłość jej ku braciom, skoro nawet w tak okropnej chwili nie odezwała się słowem na swoje uniewinnienie! Lecz tu jeszcze nie koniec jej udręczenia. Oto zła macocha, udając rozpacz i zgrozę, zaczęła wołać:

— Przekonałeś się teraz królu, jaką masz synową! Ta niemowa jest szkodliwą czarownicą, która własne dzieci pożera! Oddaj ją więc co prędzej w ręce kata! Niech zginie!

Król mając przed sobą widoczny

dowód zbrodni synowej, kazał jej pokój otoczyć silną strażą. A potem, ulegając namowom złej macochy, oddał synową pod sąd. Oskarżali ją wszyscy z macochą i córką jej na czele. Basia zaś, pamiętając o swych braciach, milczała; była gotowa raczej umrzeć, niż odezwać się przed oznaczonym czasem. Sąd tedy skazał ją na śmierć przez spalenie na stosie. Usłyszawszy ten straszliwy wyrok, pocieszała się tem tylko, że zanim przystąpią do wykonania wyroku, dobiegnie do końca dwudziesty miesiąc jej milczenia i wtedy będzie mogła przemówić w obronie swej niewinności.

Ale i ta nadzieja zawiodła. Dwóch dni jeszcze brakło do spełnienia się jej próby, gdy do więzienia jej wszedł kat i na miejsce stracenia ją popro-

wadził. Tłumy ludzi szły dokoła niej, złorzecząc i przeklinając ją. A ona, niewinna, szła spokojna i w niemej modlitwie błagała Boga o wybawienie dla braci. Spokojnie też weszła na wysokie rusztowanie z drzewa.

Kat zaczął już podpalać rusztowanie, gdy nagle nad rusztowaniem zafurkotało w powietrzu i siedm głośów zawołało z góry jednocześnie:

— Stój, bo umrzesz!

— Kat i wszyscy zgromadzeni przstraszyli się bardzo. Wznieśli oczy w górę i ujrzeli siedm czarnych kruków, opuszczających się na rusztowanie. Stanąwszy na niem, nagle zmienili się w siedmiu urodziwych chłopców, którzy padli wpierw do nóg skrzepowanej Basi, a potem ją całowali i ściskali i z powrozów uwolnili.

Potem bracia zeszli z nią na dół do króla, a pokłoniwszy się nisko, opowiedzieli mu, jak to Basia dla wybawienia ich poświęciła wszelkie swoje szczęście osobiste, a nawet gotowa była umrzeć. Opowiedzieli również, jak królowę-macochę skrzydłami bili po głowie, gdy szczątki dziecka niosła z chlewu do zamku, oraz, że w owym chlewie królowa zgubiła swój pierścień ślubny, który zapewne dotychczas tam leży.

Któż zdoła wyobrazić sobie radość, jaka zapanowała teraz w sercu króla i całego ludu. Król przyciskał Basię do serca, całował ją w czoło i prosił o przebaczenie. A lud cały krzyczał:

— Królewiczowa nasza, Basia, niech żyje! niech żyje!

Wśród takich okrzyków radości udali się wszyscy na zamek. Tu przybywszy, król rozkazał najpierw szukać pierścienia królowej w chlewie. Pierścień oczywiście znaleziono i był to zupełny już dowód zbrodni królowej-macochy. Wtedy król skazał ją i córkę jej na dożywotnie więzienie w najciemniejszym lochu o chlebie i wodzie.

Wkrótce potem powrócił z wojny zwycięskiej królewicz, który, dowiedziawszy się o wszystkim, tem mocniej umiłował swoją Basię. Już teraz nigdy się z nią nie rozłączał.

Królewicz z piękną i dobrą swą Basią żyli długo i szczęśliwie i doczekali się dwunastu synów, a wszyscy mieli oczy czarne i włosy czarne, jako kruki. A bracia Basi pozostali

odtąd na dworze królewskim, byli bardzo pilni i pracowici i wyszli na ludzi znakomitych i przez wszystkich poważanych.

WILK, KTÓRY CHCIAŁ ZJEŚĆ CZŁOWIEKA

Onego czasu, kiedy jeszcze pan Jezus chodził po ziemi i nauczał, zdarzyło się raz, że wilk szary przyszedł do niego i rzekł:

— Panie! jadłem już mięso różnego rodzaju; wiem, jak smakują barany, cieleta, a nawet woły i konie, ale nigdy jeszcze nie jadłem mięsa człowieczego. Panie! pozwól mi więc i tego przysmaku skosztować.

— Wilku — odpowiedział Pan Jezus, sam — nie wiesz, czego żądasz.

Wiedz tedy, że ludzkie mięso jest gorzkie i może ci zaszkodzić.

Lecz wilk rzekł na to:

— Niech będzie, jakie chce, tylko pozwól mi zjeść człowieka, żebym zaspokoił ciekawość moją.

— Cóż mam z tobą robić, — odpowiedział Pan Jezus, — skoro tak koniecznie chcesz poznać, jak smakuje człowiek, dobrze, pozwolę. Ale pod jednym tylko warunkiem: ażebyś nie ruszył ani chłopca, ani staruszka, lecz tylko parobka. Pamiętaj, pozwalam ci zjeść tylko parobka.

Wilk ucieszony, wychodzi sobie na drogę do boru, siada na ogonie i czeka na parobka, któregooby mógł zjeść. Słucha, patrzy — i widzi, że ktoś nadchodzi. Pyta się więc chciwie:

— Kto ty jesteś?

— A toć widzisz — brzmi odpowiedź, — żem chłopak mały i do szkoły idę.

— Idź sobie z Bogiem, — odpowiada na to wilk, — nic mi tu po tobie.

Wilk czeka dalej. Słucha, patrzy — i widzi, że znowu ktoś drogą nadchodzi. Pyta się więc chciwie?

— Kto ty jesteś, bracie?

A był to dziadek stary, który z trudem wielkim włókł się noga za nogą. Dziadek tak więc odpowiada:

— A toć widzisz, żem starzec o kij. Idę na odpust do tej wsi za borem, ale nie wiem, jak się tam zawlokę, tak mi już ciężą lata.

— Niech was Pan Bóg prowadzi, — odpowiedział wilk. — Ja tu na kogo innego czekam.

Wilk czeka dalej. Siedzi na swym

ogonie i czeka na parobka. Słucha, patrzy, — i widzi, że ktoś drogą nadchodzi. Nareszcie, nareszcie zbliża się młody parobek w kozuchu, idzie żwawo i śmiało i pośpiewuje sobie wesoło. Wilk ostrzy już sobie zęby na niego i pyta się przymilnie:

— A kto ty jesteś, wesoły człowieku?

— A toć widzisz, żem parobek, zdrów i wesół i do roboty zawsze skory. Ale powiedz mi, mój wilku, dlaczegoś taki ciekawy?

— O, to ważna dla mnie sprawa, — odpowiada wilk. — Pan Jezus pozwolił mi zjeść ciebie. Przygotuj się więc na śmierć.

Ale parobek wcale się tem nie przestraszył i rzekł:

— Ano, skoro mnie już masz zjeść,

to pozwólże mi przynajmniej iść w te krzaki i pomodlić się trochę przed śmiercią.

Wilk nie miał nic przeciwko temu, a parobek zniknąwszy w krzakach, uciął sobie tęgi kij i schował pod kożuch. Potem powrócił do wilka i rzekł:

— Już jestem gotów na śmierć. Przedtem jednak chciałbym cię przekonać, że nie mam do ciebie najmniejszej urazy za to, że mnie zjesz; dlatego pozwól, że cię pocałuję w ogon.

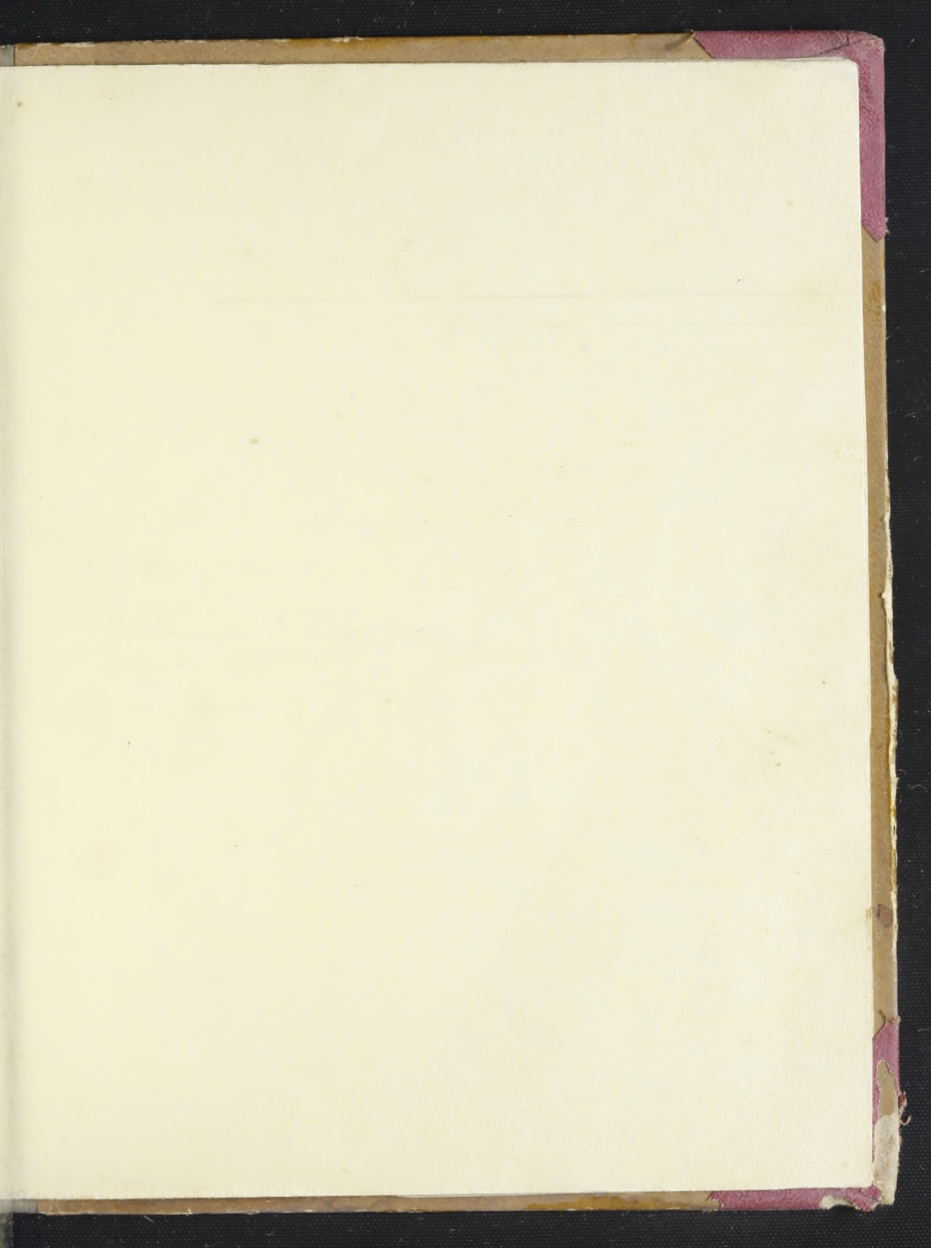
Wilk pyszny, chętnie na to zezwolił, — a parobek, niby to idąc do całowania, szybko schwycił wilka za ogon, okręcił koło ręki, a potem wzięwszy z pod kożucha kij, jak zacznie okładać, jak zacznie kropić, tak że wilk zupełnie zgłupiał i nie wiedział, co się z nim dzieje. A parobek bił a bił bez

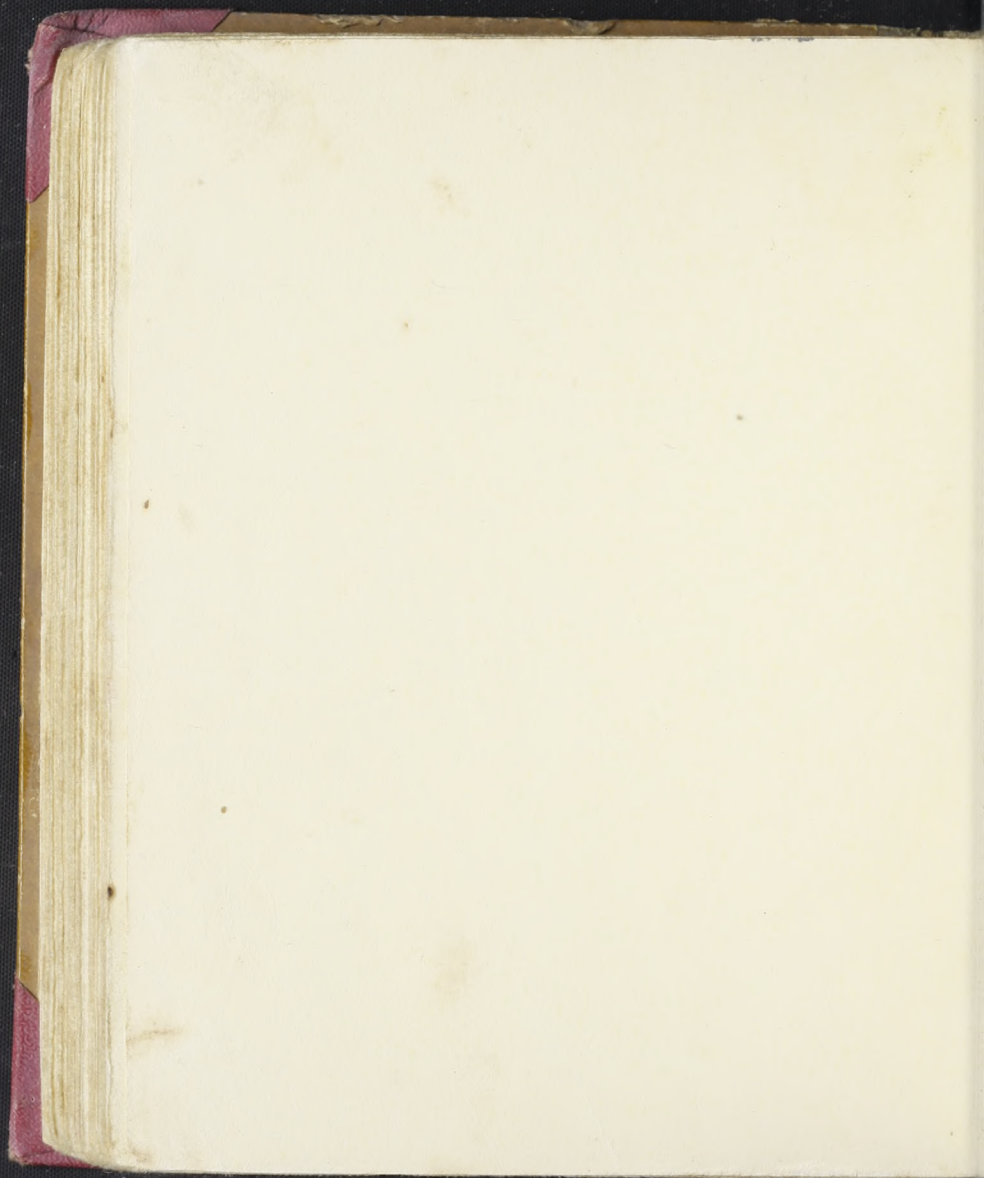
miłosierdzia, i zbiwszy go na kwaśne jabłko, zostawił go prawie nieżywego na miejscu i poszedł dalej.

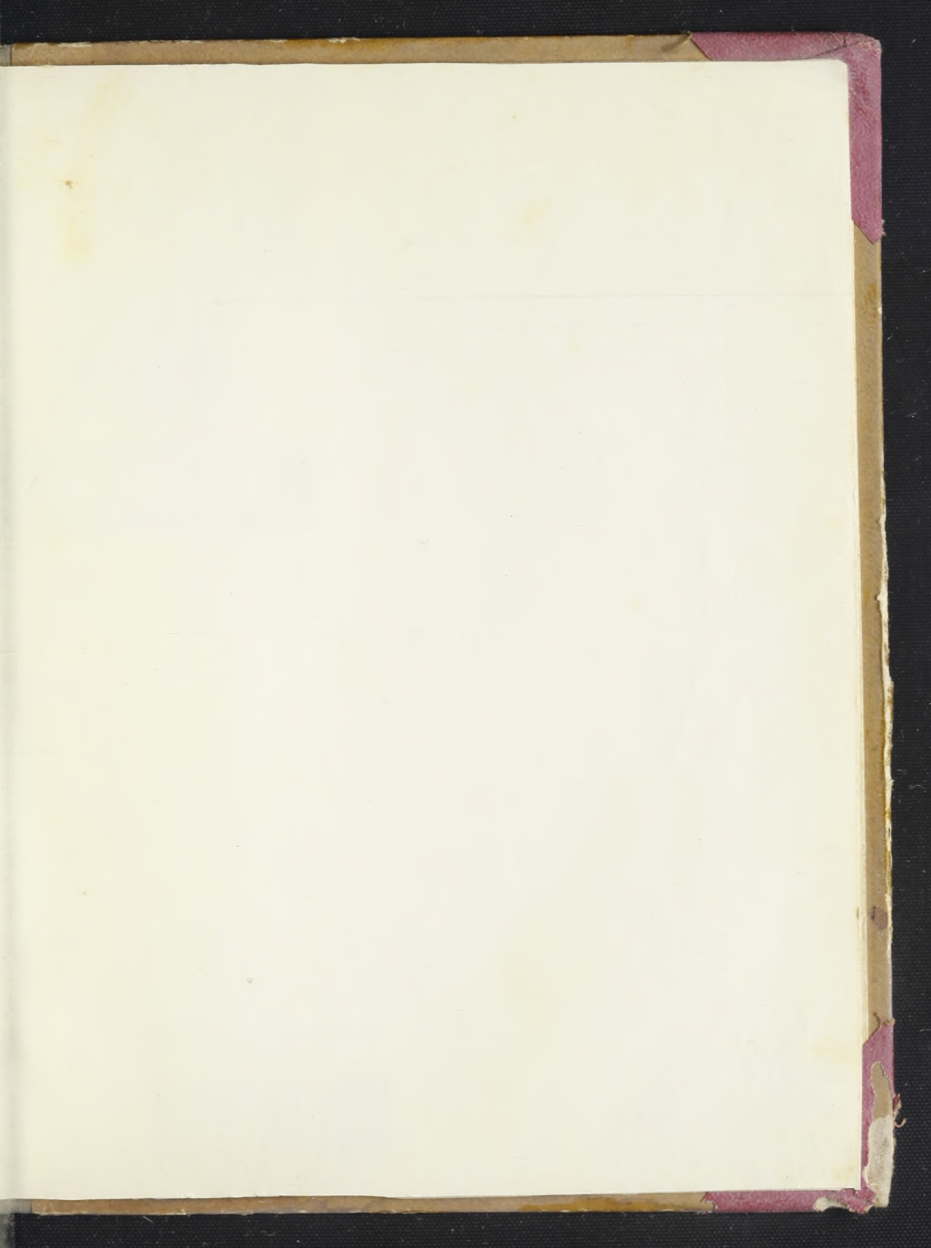
Wilk, odzyskawszy po kilku godzinach przytomność, powlókł się z powrotem do kniei. A spotkawszy znowu Pana Jezusa, rzekł:

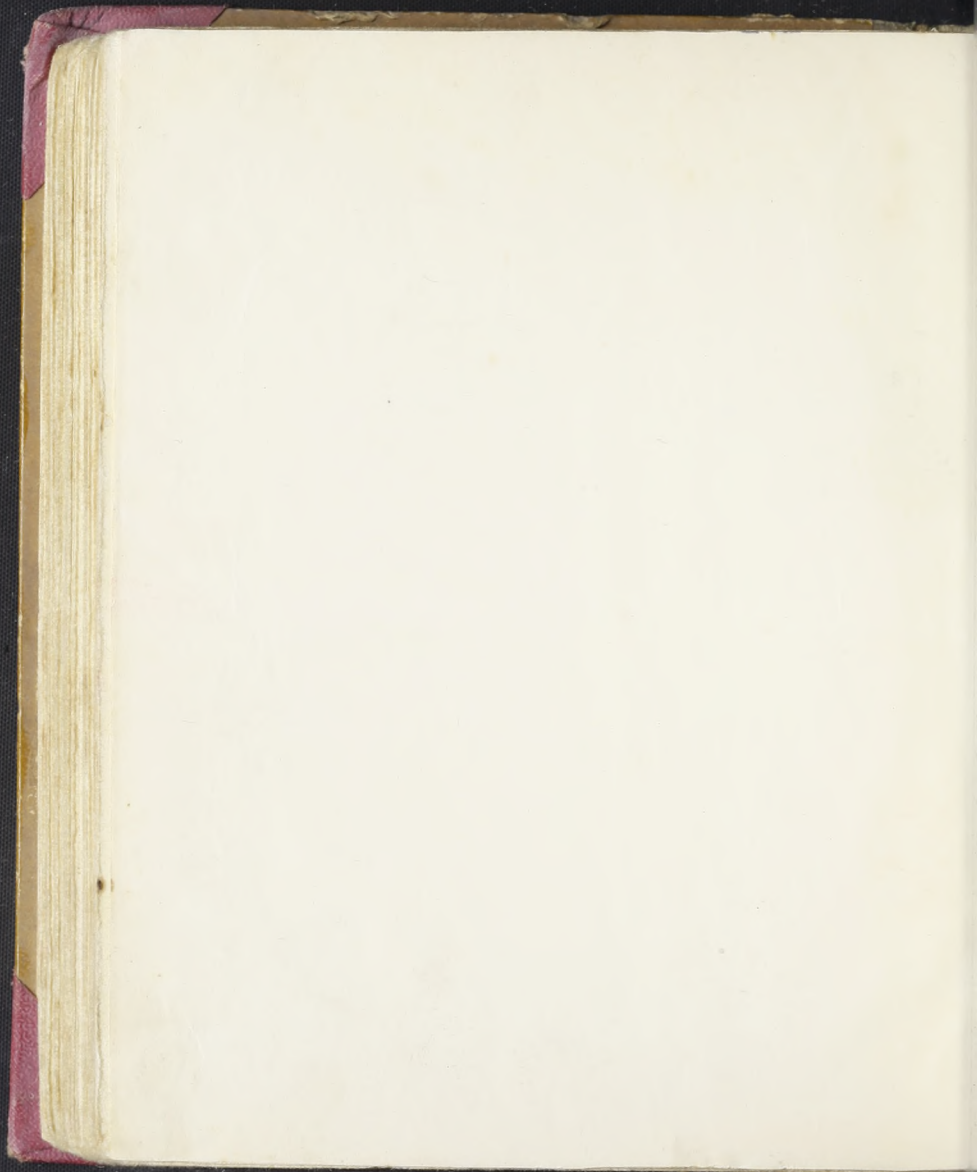
— Oj, prawda, Panie Jezu, że człowiecze mięso bardzo jest gorzkie, i szkodliwe; już zupełnie straciłem na nie apetyt. Lepsze dla mnie barany i cieleća, niż te przysmaki z człowieka.











KSIEGARNIA*

ANTYKWARIAT



E 432150

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021677678

Ant Nauk
Wielce 3.04.89
-6200,-



1467420
